Wydanie z dnia: piątek, 31. grudzień 2021 > Dziennik Gazeta Prawna

Jak uniknąć demograficznego armagedonu

SPOŁECZEŃSTWO

fot. gremlin/Getty Images

Musimy przestać traktować sztuczną inteligencję tak, jak luddyści w XIX w. traktowali krosna tkackie, a zacząć postrzegać ją jako być może jedyną szansę na przetrwanie naszej cywilizacji

Słyszeliście o depopulacji? W dobie pandemii to słowo zrobiło furorę wśród ludzi, którzy – delikatnie mówiąc – nie darzą sympatią Billa Gatesa. Miliarderowi przypisano chęć wymordowania rodzaju ludzkiego z użyciem śmiertelnego wirusa, szczepionek i środków antykoncepcyjnych. Niepotrzebny sarkazm? Możliwe. Ale żadna doza sarkazmu nie dorówna absurdalności tych zarzutów.

Depopulacyjny strach nie jest jednak całkowicie pozbawiony podstaw. Jak podzieliła w wywiadach inny miliarder, Elon Musk, jal teraz jest nas na Ziemi zbyt mało i jeśli nie zaczniemy się rodzić więcej dzieci, nasza cywilizacja upadnie.

To celna obserwacja. Chociaż na świecie żyje ok. 7,9 mld ludzi, to od lat 60. XX w. wzrost populacji spowalnia. Według prognoz ONZ jego dynamika ma spaść z 1 proc. w 2020 r. do 0,1 proc. pod koniec tego wieku. A niewykluczone, że będzie gorzej. Niedawno opublikowano badania pokazujące, że w 2040 r. wskaźnik dzietności może zejść w skali globalnej poniżej 2,1 dziecka na kobietę w wielu krajach, a więc poniżej poziomu zastępowalności pokoleń. Populacja Ziemi wkrótce osiągnie swój szczyt, by potem wpaść w stagnację, a w końcu się zmniejszać. Stoi więc przed nami wielmo wyczerpania się najważniejszego zasobu, czyli ludzi. Jest jednak szansa na uniknięcie demograficznego armagedonu: rozwój sztucznej inteligencji.

Mit przeludnienia

To nie zbyt małej liczby ludzi zazwyczaj się obawiamy. Przeciwnie – do tej pory lejmotywem rozważań demograficznych było przeludnienie. Ogromne zasługi na tym polu miał mnich i ekonomista żyjący na przełomie XVIII i XIX w. Thomas Malthus. Doszedł on do wniosku, że ludzkość przejawia nieskępowaną tendencję do rozmnażania się w geometrycznym tempie, za którą produkcja żywności nie jest w stanie nadążać. Według Malthusa jedynym ratunkiem przed stanem powszechnej nędzy była seksualna abstynencja.

Podobne obawy mieli też starożytni, choć populacja świata liczyła wtedy ok. 150–250 mln osób. Grecki dramaturg Eurypides w nadmiarze ludzi upatrywał nawet praprzyczynę wojny trojańskiej. Trybun rzymski Tyberiusz Gracchus żalił się, że powracający ze służby imperialnej żołnierze „nie mają grudki ziemi, którą mogliby nazwać swoją własną".

Również dzisiaj obawy o przeludnienie są żywe. Profesor Jane Goodall, wybitna brytyjska prymatolożka i antropolożka, stwierdziła na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos w styczniu 2020 r., że „wszystko, z czym boryka się świat, nie byłoby problemem, gdyby populacja Ziemi była taka jak 500 lat temu". W 1500 r. ludzkość liczyła niecałe 500 mln osób. Niektórzy – zwłaszcza ci pogrążeni w strachu przed katastrofą klimatyczną – świadomie decydują się nawet na bezdzietność.

Ekonomista wolnorynkowy Julian Simon w książce „The Ultimate Resource II" (Najważniejszy zasób II) twierdzi jednak, że obawy o przeludnienie zawsze były przesadzone: wzrost ludzkiej populacji nigdy nie był stały ani stabilny. Przypiesząc, a potem przez tysiące lat spowalniał bądź całkowicie hamował. Nabierał tempa w okresach przełomów technologicznych – milion lat temu wraz z wynalezieniem pierwszych narzędzi, 10 tys. lat temu wraz z rewolucją neolityczną i końcem epoki zbieracko-łowieckiej oraz 300 lat temu wraz z początkiem kapitalizmu.

Technologie danej epoki wyznaczają także maksymalny rozmiar, jaki może osiągnąć populacja. Matthew J. Delventhal, Jesus Fernandez-Villaverde i Nezih Guner w pracy „Demographic Transitions Across Time and Space" (Przemiany demograficzne w czasie i przestrzeni) przeanalizowali 250 lat demograficznej historii 186 państw, dokumentując przechodzenie z „reżimu wysokiej dzietności i wysokiej śmiertelności" do „reżimu niskiej dzietności i niskiej śmiertelności". Poza afrykańskim Czadem proces ten już się dokonał bądź dokonuje się w każdym z analizowanych państw. Najpierw przy pewnym poziomie dochodu per capita zaczyna maleć roczna śmiertelność w populacji, by po pewnym czasie zaczęła spadać także liczba urodzeń. Transformacja ta przebiegała bardziej dynamicznie w XX w. niż w XIX w. Kraje, w których ten trend postępował szybciej, „infekowały" następnie sąsiadów.

Zasób ludzki: umysł

Jeśli już starzejące się społeczeństwo i kurczącą się populację uważa się za problem, to zwykle w kontekście systemu emerytalnego i rynku pracy. Czy zmniejszająca się klasa produktywna zdoła wytworzyć tyle dochodu, by utrzymać na przyzwoitym poziomie rosnącą liczbę emerytów? Czy firmy znajdą odpowiednią liczbę nowych pracowników?

To zagadnienia bardzo ważne, ale pomijają główną przyczynę, dla której zapaść demograficzna to prawdziwa tragedia dla całego świata, nie tylko przekaza ZUS. Jak napisałem na wstępie, ludzie to najważniejszy zasób. Czy chodzi tylko o kwestie produkcji i konsumpcji? Nie. Zredukowanie człowieka do takiego wymiaru nie tylko odbierałoby mu godność, lecz byłoby także fałszywe. Zasoby ludzkie to przede wszystkim umysły zdolne rozwiązywać najtrudniejsze problemy i poprawiać kondycję swojego życia. Rosnąca populacja jest swoistą miarą rozwoju, oznaką cywilizacyjnego sukcesu. „Można by się spodziewać, że ilościowy ludzkości będą skakać z radości z powodu tylnuśki ludzkiego umysłu i organizacji nad sobą samym w sobie. Niniejszy tekst mogą nawet uznać za bryk przydatny do rozbudowania swojej pronatalistycznej narracji.

Problem jednak w tym, że historycznie rzecz biorąc, wielodzietność nie była wartością samą w sobie, lecz koniecznością. W świecie przedkapitalistycznym, pełnym nędzy i nieszczęścia, dzieci były traktowane jako darmowa siła robocza. To warunki ekonomiczne i wysoka śmiertelność dzieci – a nie szczególnie silna chęć posłuszeństwa wobec boskiej zasady „bądźcie płodni i rozmnażajcie się" – stworzyły rodzinę wielodzietną. Gdy warunki się poprawiły, a śmiertelność spadła, wielodzietność straciła wymiar praktyczny i stała się wyjątkiem. Posiadanie choćby dwójki dzieci wypadło dla wielu par z pakietu życiowych celów – i to bez względu na to, jak tradycyjna i konserwatywna jest kultura, w której żyją. Spadek dzietności notuje się nawet w krajach, które rzekomo bardziej jej sprzyjają – muzułmańskich. W Iranie wskaźnik dzietności wynosi obecnie zaledwie 1,6. A co to możliwe? Jak zauważa Hans Rosling w książce „Factfulness", związek między wyznaniem a liczbą dzieci jest przeceniany. Globalnie na muzułmanie w wieku płodnym przypada średnio 3,1 dzieci, a na chrześcijanie 2,7 (dane z 2017 r.). Różnica jest więc niewielka. Iran to zresztą świetny przykład na to, jak anachronizmy stereotypami kulturowymi się często posługujemy. Kraj ten zalicza? najszybszy w historii spadek wskaźnika dzietności. Rosling tłumaczy: „W Iranie – siedzibie największego producenta przeszerwu na świecie w latach 90. Irańczycy czym się obowiązkowymi przedmiałerśkimi kursami edukacji seksualnej, obywatele są dobrze wykształceni i mają doskonały dostęp do zaawansowanej publicznej służby zdrowia". Liczba dzieci maleje wraz ze wzrostem dochodu per capita, a nie wraz z sekularyzacją, ateizacją czy liberalizacją społeczeństwa. Dlatego najwyższą liczbę urodzeń notuje się wciąż w najbiedniejszych rejonach świata – na rodzinę przypada w nich pięcioro dzieci, a co druga traci jednego potomka, zanim dożyje on pięciu lat. Niektórzy zwracają uwagę, że na spadek dzietności wpływ mają antynatalistyczne strategie, jak polityka jednego dziecka w Chinach. Ale one nie nadają mu kierunku, a jedynie go przyspieszają.

W tym miejscu się kończy ta część tekstu, która spodoba się walczącym o płodność narodu konserwatystom, a zaczyna część, która może się im wydać koszmarna. Naturalkiem dla dzietności może się bowiem okazać nie moralna kontrrewolucja, lecz demonizowana przez wielu prawicowców sztuczna inteligencja (SI). Zresztą nie tylko przez nich – nawet dla Elona Muska rozwój SI to otwarcie piekielnych wrót. Nie mówiąc już o Stephenie Hawkingu, który ostrzegał, że będzie ona „albo najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek nam się przytrafiła, albo najgorszą. Jeśli nie będziemy ostrożni, może być rzeczą ostatnią".

Obstawiam, że będzie to rzecz najlepsza.

Sztuczna inteligencja, naturalna ulga

Jeden z największych wizjonerów XX w., pisarz SF Robert A. Heinlein, często wplatał w swoje książki wątek sztucznej inteligencji, inżynierii genetycznej, podboju kosmosu czy innowacyjnych instytucji społecznych, jak tymczasowe kontrakty małżeńskie. Manipulacje genetyczne nie były w Heinleina jednoznacznie złe – mogły być nawet zbawienne. Innowacyjne instytucje społeczne były zaś po prostu lokalnymi adaptacjami umożliwiającymi rozkwit cywilizacyjny. Z kolei sztuczna inteligencja mogła wspierać człowieka w drodze do uwolnienia się od autoetyzmu opresji. Gdyby Heinlein nie umarł w 1988 r., napisałby może kolejną powieść, w której SI staje się także lekarstwem na zapaść populacyjną. Dziś mówi się najczęściej, że zabierze nam pracę i podbawi dochodu. Dwa lata temu Kai-Fu Lee, autor książki „AI Superpowers"? I byty szef Google China, prognozował, że w ciągu 15 lat sztuczna inteligencja przejmie ok. 40 proc. miejsc pracy. Mówił głównie o zadaniach niewymagających wysokich kwalifikacji, które można łatwo „wytłumaczyć" komputerom. Lista takich zadań szybko się jednak poszerza. Kiedyś wydawało nam się, że automat nie zastąpi ludzi w kierowaniu pojazdami – m.in. ze względu na nieprzewidywalność warunków drogowych – ale dzięki systemom deep learning udało się tę bariery pokonać. Możliwe więcej, że nie istnieje zadanie, którego nie mogłaby od nas przejąć sztuczna inteligencja. Dzisiaj wydaje nam się, że wszystkie zajęcia wymagające empatii, jak np. opieka nad seniorami, może wykonywać tylko człowiek. Ale czy na pewno? Ewolucja cyfrowych technologii w pornografii pozwala wątpić. Bliskość można symulować, mimo że nigdy nie będzie ona prawdziwa.

Nie powinniśmy się obawiać, lecz mieć nadzieję, że SI będzie zastępować nas w dotychczasowych zadaniach. Namnożyliśmy się jako ludzkość, a wraz z nami namnożyło się problemów do rozwiązania. W sytuacji populacyjnej stagnacji SI może stać się skutecznym uzupełnieniem umysłowych „mocy produkcyjnych". Każdy słuchę, któregoś nie będzie musiał obsługiwać kasjer, każda procedura medyczna, którą przejmą roboty, każdy klient obsłużony przez wirtualnego asystenta czy utwór muzyczny do windy napisany przez komputer to zaoszczędzone zasoby ludzkiej kreatywności. Można je wykorzystać w innych celach, których być może nawet jeszcze nie znamy. Zastępując nas w wykonywaniu jednych zadań – oraz wykonując je lepiej niż my – SI pozwoli nam opracowywać metody radzenia sobie z najważniejszymi wyzwaniami stojącymi przed ludzkością. Lepsze wykorzystanie SI w naszym życiu może zatem stać się dźwiękiem większej dzietności – sposobem na wydajniejsze korzystanie z posiadanych przez nas umysłów. Taka wizja SI – jak zauważają badacze – urzeczywistni się jednak wtedy, gdy ludzie będą w stanie skutecznie współpracować z „niezależnymi" partnerami. Żeby to się stało, trzeba przestać traktować SI tak jak luddyści w XIX w. traktowali krosna tkackie, a zacząć postrzegać ją jako niepowtarzalną i być może jedyną szansę na przetrwanie naszej cywilizacji. ©℗

Autor
Sebastian Stodolak

(c) 2022 INFOR PT